AE. 069023/1942

SPRAWA

DWUTYGODNIK POLSKIEGO INSTYTUTU: "MIECZ DUCHA"

ADRES REDAKCJI: CHESTERFIELD COURT, CURZON STREET, LONDON, W.1 Telefon: GRO 4792

Rok I Nr. 4 CZWARTEK 12 MARCA 1942 Cena 3d.

JAN REMBIELIŃSKI

ZAGADNIENIE AUSTRII

ZAGADNIENIE AUSTRII I JEJ ROLI w przyszłym, powojennym porządku europejskim znów staje się przedmiotem rozważań. Słowa premiera Churchilla, który dnia 18 z.m. wspomniał o "wdzięku, pięknie i historycznej wspaniałości Wiednia" i zapowiedział "uwolnienie Austrii spod jarzma pruskiego", ponownie nadały sprawie tej znamię aktualności. Od dawna zresztą, zwłaszcza w katolickich kołach Anglii i Ameryki, prowadzi się usilną agitację w imię wskrzeszenia Austrii, i to nie z doby Dollfussa bynajmniej, ale raczej z epoki Franciszka Józefa. Nie od rzeczy więc będzie poświęcenie zagadnieniu temu nieco uwagi.

☆

Każdy, znający Europę wczorajszą, przyklaśnie pochwale owego "grace of life", uroku dawnego życia wiedeńskiego, o którym mówił szef rządu Wielkiej Brytanii. Każdy zresztą mógłby, słusznie zupełnie, pochwały te uzupełnić i rozszerzyć. Mógłby n.p. mówić o kulturze Monachium, nowych Aten na północy od Alp, z ich klejnotami sztuki w Pinakotekach, doryckimi kolumnadami Propylejów. Mógłby rozrzewnić się nad uroczymi, tonącymi w kwiatach domkami Turyngii, co — jak w przystani spokoju i pogody — wznoszą się w cieniu średniowiecznej katedry w Erfurcie . . .

Ale z drugiej strony pamiętać też należy, że Adolf Hitler pochodzi nie z Prus lecz z Austrii, i to nie w tym sensie jedynie, że urodził się gdzieś w pobliżu Salzburga, lecz że — jak sam w "Mein Kampf" wyznaje — pierwsze swe myśli zawdzięcza austriackim wszechniemcom, a — w pewnym stopniu — również i ruchowi politycznemu wiedeńskiemu, wszczętemu przez Karola Luegera. Pamiętać trzeba, że partia narodowo-socjalistyczna założona została nie w Prusach, lecz w Monachium, skąd po raz pierwszy wyruszyła w bój o władzę, skąd, jak z ośrodka, rozszerzała się stopniowo w całych Niemczech. I że nie Prusy również, ale właśnie Turyngia była pierwszym spomiędzy państw Rzeszy, w którym "naziści" zdobyli większość w wyborach, opanowali rząd krajowy i rozpoczęli urzeczywistnianie swych haseł.

Niewłaściwe więc, bo sprzeczne z oczywistymi faktami, są wszelkie próby rozgraniczeń geograficznych między "złymi" i "dobrymi" Niemcami, obciążania Prus wyłączną odpowiedzialnością za ruchy, które w niemałej mierze z Austrii właśnie, i z sąsiadujących z nią prowincyj się wywodzą. Rzeczywistość jest na pozór bardziej złożona, faktycznie zaś prostsza i ze zdrowym rozsądkiem bardziej zgodna, a mianowicie, że granica ta nie biegnie gdzieś zewnątrz, lecz wewnątrz duszy każdego Niemca poszczególnie, że więc w narodzie niemieckim jako całości są i pierwiastki złe i dobre równocześnie, przyczem raz jedne, raz drugie uzewnętrzniają się i biorą górę.

Za daleko by wiodła analiza tych pierwiastków, można jednak i trzeba wskazać na jedno: Nieszczęściem dla świata jest, ilekroć w duszy niemieckiej bierze górę skłonność do ujednostajniania, poddawania wszystkiego jednej władzy, "Gleichschaltung" — czy to w postaci średniowiecznego totalizmu krzyżackiego, czy nowożytnej monarchii Hohenzollernów, czy, w stopniu jeszcze wyższym, we współczesnej formie Trzeciej Rzeszy. Pomyślne zaś jest — i płodne w wielkie skutki cywilizacyjne — kiedy wśród Niemców przemaga gust do regionalnych różnic, do "małych ojczyzn", z ich własnymi tradycjami, odrębnym życiem miejscowym i obyczajem. Wszak właśnie Niemcy po 1648 roku, po utrwaleniu traktatem Westfalskim ich podziału, dały ludzkości Leibnitza i Kanta, Goethego i Schillera, Bacha i Beethovena . . .

Jeśli więc chodzi o ogólną zasadę wzmocnienia regionalizmu, podtrzymywania i utrwalania różnic między krajami Rzeszy — plan jest rozsądny i w jego ramach trafne jest też pielęgnowanie i podsycanie odrębności austriackiej. Ale chcieć wskrzeszać stan sprzed 1914 — więc z jednej strony Niemcy jako całość, z drugiej Austrię jak za czasów Franciszka Józefa — to znaczy nie znać rzeczywistości europejskiej, nie tylko nie orientować się, że Austria i Bawaria znacznie są bliższe sobie niż np. Bawaria z Prusami, lecz też, co gorsza, siać ziarno przyszłych zatargów, stwarzać warunki dla rozwoju niemieckiej zaborczości i chęci odwetu.

☆

Austria nie tylko — przez większą część dziejów nowożytnych — była niejako ośrodkiem duchowym Rzeszy, jako siedziba cesarza niemieckiego i gniazdo skąd wywodził się ród panujący. Była ona przede wszystkim — od zarania swego — *marchią wschodnią*, najdalej na wschód wysuniętą strażą przednią niemczyzny. Stąd też żaden inny odłam narodu niemieckiego — poza może wschodnią, krzyżacką częścią Prus — nie ma tak wielkiej wprawy w dziele germanizacji, nie dokonał tak wiele w dziedzinie ujarzmiania i tępienia sąsiadujących plemion i narodów. Dzieje słowiańskich niegdyś terenów Styrii i Karyntii; dzieje Illirii, Czech, Moraw, Śląska; dzieje Galicji wreszcie, w ciągu stulecia całego, od rozbioru w roku 1772 aż po rok 1867 — to jedna długa historia niemczenia, konsekwentnego, brutalnego, bezlitosnego.

A nawet po roku 1867, kiedy na skutek klęsk w kilku wojnach Franciszek Józef zmuszony był pójść na kompromis ze "swymi ludami", Niemcy (nawet nie czwarta część ludności monarchii!) nie tylko utrzymali uprzywilejowane stanowisko językowe, lecz — co ważniejsza — całą siłę Austro-Węgier umieli wprząc w rydwan imperializmu niemieckiego, dając ją do rozporządzenia kierownikom Rzeszy, podejmującym walkę o podbój świata w roku 1914.

W ten sposób to, co z trudem i częściowo osiągnął Hitler dopiero po dwu latach wojny: owe posiłki węgierskie, słowackie, chorwackie, przelewające krew za sprawę Niemiec — w poprzedniej wojnie światowej miał Wilhelm II od początku ,przez prosty fakt istnienia monarchii habsburskiej.

Przewaga bowiem żywiołu niemieckiego była w monarchii tej koniecznością, nie tylko wynikającą z jego centralnej pozycji geograficznej, lecz przede wszystkim stanowiącą następstwo współdziałania Niemców austriackich z Węgrami. Węgrzy, których dziedzictwo historyczne większe jest, niż teren zasiedlenia Madiarów, z natury rzeczy musieli ulec pokusie, by utrzymując — dzięki pomocy Niemców — panowanie nad Słowianami czy Rumunami, dawać nawzajem poparcie polityczne imperializmowi germańskiemu w jego planach. I póki ta możliwość nie będzie usunięta, póki Węgry nie wejdą w inny system polityczny, z którego żywioł niemiecki będzie wyłączony, zawsze trwać będzie skłonność do tej współpracy, a razem z nią odnowienia zaborczych dążeń Niemiec na wschodzie.

☆

Otóż taki system polityczny istniał w wieku XV i w pierwszej ćwierci wieku XVI, kiedy monarchowie z dynastii Jagiellonów zasiadali równocześnie na tronach: polskim, czeskim, węgierskim i na stolcu wielkoksiążęcym Litwy. System ten trwał ku pożytkowi wszystkich tych narodów, a nie niosąc ucisku żadnemu, przestał zaś istnieć nie przez załamanie się wewnętrzne, ale przez wygaśnięcie dynastii, której był dziełem, przez śmierć bezdzietną młodego Ludwika pod Mohaczem, a w kilkadziesiąt lat później — Zygmunta Augusta. Kiedy zaś zniknął, zgasła na parę stuleci nadzieja wyzwolenia Słowian Południowych i Greków, niemal natychmiast przyszła niewola Czech i Węgier, a po dwu dalszych wiekach — Polski.

I czy to komu spodoba się, czy nie spodoba, zagadnienie zorganizowania Europy Środkowej znowu przybiera postać odwieczną, tradycyjną: współzawodnictwa idei jagiellońskiej z habsburską. Konflikt ten trwa, choć jedna z tych dynastyj wygasła, druga zaś złożona została z tronu — i między tymi dwoma sprzecznymi programami trzeba raz jeszcze dokonać ostatecznego wyboru. Albo rozwiązanie habsburskie, z hegemonią niemiecką, oparte na zasadzie "divide et impera" i wiodące do krzywdy i niewoli, albo powrót do tradycji jagiellońskiej: związku poza żywiołem niemieckim i bez hegemonii czyjejkolwiek, opartego — w myśl słów Unii Lubelskiej — na współdziałaniu "wolnych z wolnymi, równych z równymi".

ANTONI BOGUSŁAWSKI

SZOPEN U RADZIWIŁŁA



Fortepian Szopena

Książę-meloman, protektor artystów,
dłonią ze śnieżnych skinąwszy batystów,
rzekł, uśmiech posyłając z żabotowych krez:
— Princesse!
Altesse Royale, mon cousin!
Voici Monsieur Chopin!

I, w mahoniowym zasiadłszy fotelu,
czekał, aż dźwięki klawikordu tonów,
od ścian odbite wytwornych salonów,
powrócą ucho pieścić w czułym trelu.

A wnuki króla, co, wbrew etykiecie,
sentymentalnie przygrywał na flecie
i, zmusztrowawszy swych gross-grenadierów,
korespondencją zabawiał Wolterów —
kiwnęły głową z szambelanów ścisku
ku młodzieńcowi o owym nazwisku.

Gwar cichnął . . .
Goście księcia wśród zabawy
pragnęli słyszeć artystę z Warszawy,
którego sława poprzedziła chyża,
dyliżansami lecąc do Paryża.

Gwar cichnął . . .
Profil o wyniosłym czole
chwilę się oczom ukazał przy stole
i pośród gości sunął, gdzie wskazano
w jarzących świecach lśniące forte-piano.

Siadł . . . Zwiódł po włosach smukłopalcą ręką
i płacz rozbudził w wiolinie piosenką:

Hej!
Grać, fujarko, chciej
na łąki, na bory i pola!
Graj
na ten cały kraj,
gdzie dzisiaj łzy i niedola!
Hej!
W łzach się jeno śmiej
przez pola, przez bory i łąki!
Graj
i pociechę daj
na tęskną godzinę rozłąki! . . .

. . . Zatrzymał się . . . Pieśń swoją zwijał i poszerzał,
z wiolinu bemolami ku basom wybieżał
i cisnął pośród paru poszarpanych zgrzytów
melodię, którą tętnią dzwony Karmelitów:

Więźnie, więźnie, kto jesteście?
więźnie, dzwony biją w mieście!
Słuchaj, w lochu zakopany:
śmierć — to żywot!
strąć kajdany!
Więźniu, więźniu, zleć się Bogu!
podpal słomę na barłogu!
Więźniu! wyjdzie na jaw zbrodnia,
kiedy spłoniesz, jak pochodnia!
Więźniu! . . .

. . . Łka pieśnią . . . To Warszawa płacze mu przez palce!
Spiskowi-bohatery i szpiegi-padalce! . . .
Taki ból, taka rozpacz wcieliła się w klawisz,
aż zdumiały się Niemce:
—Der spielt aber slavisch!
Nie francuska muzyka jest w tej inwokacji . . .

A on, zapamiętany w swej improwizacji,
po strunach klawikordu rozpętał bezwiednie
pieśni skargi, miłości, pieśni-przepowiednie,
całą Polskę okutą wyrzucił na struny
i grał jej marsz odwetu, grał zemsty pioruny!

. . . Słuchacze, choć porwani melodią głęboko,
nie pojęli dziwnego forte con fuoco —
ale książę zrozumiał . . .
Dotknął ręką czoła,
skąd uporczywej myśli odgonić nie zdoła,
i, gdy tony pobudką biły przez powietrze,
lica mu się chyliły — bledsze . . coraz bledsze . . .

O POLSCE

(Urywek)

Są pewne rzeczy na tym świecie, które są równocześnie namiętnie kochane i namiętnie nienawidzone. Są one zawsze, z natury rzeczy, czymś o wyraźnie zarysowanym charakterze, czymś albo bardzo dobrym albo bardzo złym. Z reguły też sprawiają one wszystkim wiele kłopotu, w szczególności tym, którzy usiłują je zniszczyć. Ale największy kłopot sprawiają tym, co starają się ich nie zauważać. Niektórzy nienawidzą ich tak szaleńczo, że chcą zaprzeczać samemu ich istnieniu, ale pustka powstała wskutek tego zaprzeczenia, w dalszym ciągu pozbawia ich spokoju, tak jak ludzi, którzy stanęli w obliczu próżni. Oświadczają że ma ona utracić nawet nazwę, a w dalszym ciągu nie przestają wciąż wyklinać jej imienia. Ciekawe zjawisko to najlepiej uzmysłowić na przykładach. Jednym z takich przykładów jest . . . Polska.

G. K. CHESTERTON.

CHRISTOPHER DAWSON

NA ROZSTAJU

Zamieszczamy poniżej przekład urywków z zakończenia książki jednego z najwybitniejszych myślicieli katolickich Anglii współczesnej, Christophera Dawsona p.t. "Progress and Religion". Myśli te, ogłoszone po raz pierwszy w roku 1929, w chwili obecnej nabierają większej jeszcze aktualności.

CZASY LIBERALNO-DEISTYCZNEGO kompromisu[1] skończyły się i oto stanęliśmy u rozstaju dróg. Albo Europa musi zerwać z tradycją chrześcijańską, a wraz z nią z wiarą w ludzkość i postęp, albo musi świadomie powrócić do podstaw religijnych, na których wiara ta była oparta. Świat nowoczesny nie przestał potrzebować religii — w rzeczywistości wartość i niezbędność religijnego pojmowania życia odczuwane są dziś silniej, aniżeli przed pół wiekiem, i nauka nie usiłuje już, jak czyniła to wówczas, kwestionować uzasadnienia tej potrzeby. Ale skłonności religijne będą musiały wypowiedzieć się otwarcie, w formie religii, zamiast szukać ukrytych, nieprawych form pod postacią teoryj politycznych czy naukowych, na szkodę zarówno nauki jak i wiary. . . .

Prawda, że wciąż trwa jeszcze, rozpowszechniona szeroko, przesądna niechęć do wszelkich religij, głoszących iż opierają się na boskim, nadprzyrodzonym objawieniu. Stary, z XVIII wieku wywodzący się ideał religii czysto rozumowej — religii bez Objawienia — wciąż jeszcze nie przestał być pociągający dla umysłowości nowoczesnej.

Ale religia bez Objawienia jest religią bez Historii, a właśnie ten historyczny czynnik nadaje chrześcijaństwu ów szczególny całkiem charakter, i odróżnia je od niezdolnych do postępu, metafizycznych religij Wschodu. Religia czysto rozumowa z konieczności musi stać się religią metafizyczną, ponieważ popęd religijny nie znajdzie pożywki na wązkim i jałowym polu wnioskowania, i jedynie na gruncie metafizyki — intuicyjnych wniknięć w prawdę wieczną i absolutną — rozum i religia mogą się spotkać.

Z drugiej strony zaś instynkt religijny znajduje najpełniejsze i najbardziej konkretne zaspokojenie na polu historii — poprzez wiarę w historyczną osobę, historyczną społeczność, historyczną tradycję.

Żadna religia nie może być całkowicie wyzbyta z tego czynnika. Nawet w tak oderwanej i metafizycznej wierze jak Buddhyzm, silny nacisk kładziony jest na historyczną osobowość samego Buddhy. Tym nie mniej jednak we wszystkich religiach wschodnich, podobnie jak w abstrakcyjnych, filozoficznych prądach Zachodu, czynnik ten podporządkowany jest zawsze stronie metafizycznej. Jedynie w Chrześcijaństwie czynnik historyczny dochodzi do takiego znaczenia, że może być całkowicie utożsamiony z wieczystym i transcendentnym przedmiotem religijnej wiary. Chrześcijanin — i on jeden tylko — znajduje rozwiązanie paradoksu wcielenia wieczności w czasie i nieskończoności w skończone, wskutek czego życie człowieka i świat materialny mogą zachować swój sens religijny i swoją wartość.

. . . .

Powrót zaś do tradycji chrześcijańskiej da Europie podstawę niezbędną dla zjednoczenia, które tak bardzo jest jej w tej chwili potrzebne. Widzieliśmy że Europa nigdy nie posiadała tak przyrodzonej jednolitości wewnętrznej, jak inne wielkie cywilizacje. Zawdzięczała swą jedność, a nawet samo istnienie swe jako odrębna cywilizacja, przynależności do wspólnej społeczności duchowej. I może dlatego właśnie nie mogła jej nigdy zaspokoić unifikacja o charakterze czysto politycznym. Niewątpliwie, stworzenie jakiegoś gigantycznego, ponadnarodowego państwa tyłoby dla Europy rozwiązaniem wielu praktycznych trudności, lecz równocześnie zmuszałoby ją do wyrzeczenia się wielu ideałów, które umiłowała najgoręcej. Na szczęście jednak nie to jest jedyna droga, na której należy szukać rozwiązania. Możliwe, że idealną formą zjednoczenia Europy jest w ogóle nie jedność polityczna lecz duchowa. Ostatecznie, państwo nie jest przecież jedyną formą życia zbiorowego. "Nie zapominajmy" — pisał Nietzsche — "czym jest w istocie swej Kościół, w szczególności, kiedy porównujemy go z jakimkolwiek bądź państwem. Kościół jest przede wszystkim organizacją autorytatywną, w której najwyższą władzę dzierżą najbardziej *uduchowieni*, i która *wierzy* w potęgę ducha tak dalece, iż przeciwstawia się formom brutalniejszym którymi autorytet się przejawia. Już z tego jednego względu Kościół, z natury rzeczy, jest instytucją *szlachetniejszą* niż Państwo."[2]

W chwili obecnej tego rodzaju rozwiązanie może wydawać się nierealne. Przyzwyczailiśmy się uznawać za oczywiste, że siłą wiążącą w społeczeństwie jest interes materialny, zaś idee i przekonania uważać za źrodło rozterki i podziału. W cywilizacji nowoczesnej religia i czynniki duchowe w kulturze zepchnięte zostały na plan dalszy, tak że straciły łączność z życiem zbiorowym, stały się czymś zubożałym w treści i sekciarskim. Ale to właśnie doprowadziło równocześnie do zubożenia całej w ogóle naszej kultury. Doprowadziło do "schamienia duchowego Europy," które Nietzsche uważał za nieuniknione następstwo usunięcia władzy duchownej.

To jednakże jest tylko przejściowym zjawiskiem; nie może ono utrwalić się na stałe, jako normalne warunki bytowania człowieczego. Stwierdziliśmy bowiem, że w każdej cywilizacji siłą żywotną i twórczą jest pierwiastek duchowy. W miarę jak duchowy czynnik odzyskiwać będzie swą naturalną, centralną pozycję w naszej kulturze, stanie się on z konieczności głównym źródłem wszelkiej naszej działalności zbiorowej. Nie musi to jednakże znaczyć że materialna i duchowa strona życia stopią się w jednym porządku politycznym, który przybrałby całą sztywność i moc porządku teokratycznego. Skoro kultura jest, z samej istoty swej, spólnotą duchową, musi przekraczać zasięgiem swoim porządki polityczne i gospodarcze. Znajduje ona swój właściwy wyraz nie w państwie, lecz w Kościele, to znaczy w społeczności, która jest ucieleśnieniem tradycji czysto duchowej i która opiera się nie na przymusie fizycznym, ale na dobrowolnym przystąpieniu jednostki. Było swoistym osiągnięciem Zachodniego Chrześcijaństwa w przeszłości, że ten typ zorganizowanej społeczności duchowej urzeczywistniło i sharmonizowało istnienie jego z politycznymi wspólnotami narodowymi, tak że żadna z tych form nie pochłonęła, ani nie została pochłonięta przez drugą. Przez powrót do tej tradycji umożliwi się raz jeszcze utrzymanie suwerenności narodowej i politycznej wolności, stanowiących tak istotny pierwiastek europejskiego życia, i uzgodnienie ich z wyższym procesem duchowego zjednoczenia, które jest właściwym celem postępu ludzkości.

1 t.j. prób znalezienia drogi pośredniej między wiarą i niewiarą.

2 Fryderyk Nietzsche: "Wiedza radosna."

OBRAZ MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ

W dużym formacie (35 na 50 cm.). Cena 3/6 wraz z przesyłką, w ilości ponad 3 sztuki po 2/6.
Zamówienia wraz z przekazami kierować do Administracji, 1 Chesterfield Court, Curzon Street, Londyn, W.1.

Uwagi

A może by spróbować?

ZA DOBRYCH LAT PRZEDWOjennych ulubionym tematem anegdot, fejletonów, nawet sztuk teatralnych było stwierdzanie, jakie to straszne katastrofy spadłyby na świat, gdyby ludzie nagle zaczęli mówić tylko prawdę. Wykazywano, jak życie stałoby się nieznośne gdyby pan X, zamiast oświadczyć przez służącego iż wyszedł z domu, otwarcie przyznał się, że jest zajęty albo że nie chce mieć w tej chwili odwiedzin pana Y. Mrożono krew w żyłach wizją strasznych następstw, jakie wynikłyby gdyby zamiast pochwalić kapelusz znajomej damy, ktoś szczerze rzekł jej, że w nowym nakryciu głowy do złudzenia przypomina ona stracha na wróble.

Niekiedy argumentowano jeszcze z większym namaszczeniem. Udowodniano jak to lekarz zabiłby chorego, jeśliby szczerze mówił mu o jego stanie, gdyż tylko dzięki nieświadomości pacjent może nerwowo przetrzymać niebezpieczny okres kryzysu i wycieńczenia. Zapewniano że dyrektor banku, ogłosiwszy o swych chwilowch trudnościach finansowych, wywoła krach i ruinę setek uczciwych ludzi, kiedy tymczasem — dzięki rozsądkowi i dyskrecji — oszczędzi wstrząśnień i umożliwi normalny bieg ekonomicznego życia kraju.

Żaden też morał nie przyjmował się tak łatwo i tak powszechnie, jak te właśnie dowodzenia i nauki. W epoce sceptycyzmu, gdy wszystko bez wyjątku zdawało się zakwestionowane i podważone, one jedyne zachowały powagę dogmatu, którego nikt nie ośmielał się podać w wątpliwość.

Ten dogmat stał się drogowskazem całego życia zbiorowego, niezmiennie zachowywanym przez kierowników państw, polityków, publicystów, naogół przecież, zwłaszcza w dzisiejszej dobie, nie nazbyt skłonnych do dotrzymywania wierności własnemu "credo." Nawet najodważniejsi cofali się przed okropnością skutków, jakie powstałyby gdyby naraz przestano kłamać.

I oto widzimy dziś, dokąd świat — na tym dogmacie oparty — zaszedł, do jakiej rzezi, jakich zniszczeń, jakiej męki nie kończącej się milionów ludzi. Widzimy, w jak straszliwym pogrążył się chaosie, w jakiej nędzy, jak potargane zostały wszystkie więzy, które zdawały się tworzyć jedność duchową ludzkiego plemienia. Trudno wyobrazić sobie aby **jakikolwiek** *system mógł dać w wyniku gorszy, powszechniejszy zamęt. I mimo woli nasuwa się pytanie: A możeby zaryzykować? Może, skoro świat nic nie ma już do stracenia, spróbować jedynego środka, którego dotąd zawsze lękano się stosować — PRAWDY?*

J. R.

STEFANIA SZURLEJ-KOSSOWSKA

BECZKA SOLI

PRZYSŁOWIE MÓWI: BY KOGOŚ POZNAĆ, trzeba zjeść z nim beczkę soli. To znaczy, że poznanie człowieka jest rzeczą żmudną i trudną, którą trzeba rozłożyć na długi czas, na lata.

Zjawiliśmy się na tej wyspie tak obcy dla jej mieszkańców, jakbyśmy spadli z księżyca. My o nich wiedzieliśmy trochę więcej, ale też niedosyć, aby nie robić wciąż zdumiewających odkryć. Stanęliśmy naprzeciwko siebie uzbrojeni tylko we właściwe wszystkim narodom — od początku świata—poczucie wyższości, które tanim kosztem zapewnia każdemu prawdziwe zadowolenie z siebie. Co prawda, jeśli ktoś zanadto głośno krzyczy o swej wyższości, dochodzi do bójki, a nawet do wojny. Ale wśród ludzi kulturalnych o tych rzeczach nie ma mowy. Każdy i tak wie przecież swoje i tylko z uprzejmie ukrytym politowaniem patrzy na cudzoziemca, jakże upośledzonego przez to, że nie należy do naszego narodu!

Z czułym więc nieledwie pobłażaniem przyjmowaliśmy na początku naszej znajomości zdumienie naszych gospodarzy, gdy stwierdzali, że jesteśmy tacy sami ludzie, jak oni (no, może nie zupełnie tacy sami, ale prawie); ich rewelacyjne wiadomości o naszym kraju, z których dowiadywaliśmy się że stolicą Polski jest — Bułgaria, a jej główną rzeką oczywiście — Wołga, ich pytania, pełne prawdziwego zainteresowania i dobrej woli: czy w Polsce są koleje? Czy mamy swój własny język? I czy przysłowiowe niedźwiedzie zawsze, — czy też tylko w ziemie — spacerują po Warszawie?

Nasi gospodarze znów, ze swej strony, z anielską cierpliwością tłumaczyli nam, zdziwionym, że Szkoci to nie są Anglicy, że Wielka Brytania, to nie to samo co Anglia i wiele innych, podobnych zagadek.

Powoli, powoli zabieraliśmy się do zjadania naszej beczki soli.

W innych warunkach nasze poznanie trwałoby znacznie dłużej. Lecz wiadomo, że ciężkie chwile, przeżywane wspólnie, zbliżają ludzi do siebie bardziej, niż lata obojętnej znajomości. Ludzie, w godzinach próby lepiej poznają się z kimś, spędziwszy z nim jedną wspólną noc w okopie czy w bombardowanym mieście, niz spotykajac go przez dziesięć lat w salonach.

Nic dziwnego, że lata wojny liczą się podwójnie. Po tej wojnie, błyskawicznej, i ta miara nawet powina się zmienić — dzisiaj miesąc ma wagę conajmniej roku.

Więc i nam nie trzeba było lat, aby dowiedzieć sie o sobie więcej, niż wiedzieli dotychczas nasi przodkowie. Dziwaczna wojna splotła ciasno nasze życia ze sobą: powolnych, niczem nie wzruszających się mieszkańców tej wyspy i nas, niespokojnych, porywczych Polaków.

To było chyba pierwsze i najsilniejsze wrażenie, jakiego doznaliśmy tutaj — spokój tej wyspy. Po koszmarze tonącej Francji, po szaleństwie pośpiechu, niepewności, zamętu, dostaliśmy się nagle w jakiś ocean łagodnego spokoju, w świat, poruszający się "au ralenti". Zanim zaczelśmy go rozumieć, zanim zdążyliśmy się w nim rozejrzeć, już obdarzył on nas odpoczynkiem. Spokój objawiał nam się tu wszędzie, we wszystkim: — w szeroko a płasko rozbudowanym, olbrzymim Londynie, w pogodnych ogrodach, w uśmiechach, towarzyszących konwencjonalnym słowom, w nieustannem "thank you," w grzecznem ustawianiu się w kolejkę, gdzie tylko zbierze się kilka osób, w uśmiechniętym czekaniu, czekaniu, czekaniu. Nikt tutaj się nie śpieszył, bo każdy znał ustalony, przewidziany bieg wypadków. W tym kraju szczęśliwym i bezpiecznym nie było od wieków niespodzianek — każdy wiedział co go czeka jutro i za dziesięć lat, każdy mógł być pewny, że go nie minie to, co mu jest należne. Więc też nie przywiązywał zbytniego znaczenia do tego czy osiągnie to nieco wcześniej czy później.

Patrzyliśmy na to z zawiścią lub ze zgrozą. Nas życie nauczyło niecierpliwości, nerwowości. Nasi gospodarze też patrzyli na nas nieraz ze zdziwieniem, ze zgorszeniem — czemu oni się tak denerwują? gdzie oni się tak śpieszą?

Trudno każdemu — w autobusie, w sklepie, w kinie — tłumaczyć: Pochodzę z kraju, który przez wieki zalewają fale, fale wojen, najazdów, grabieży. Muszę — tak, jak moi przodkowie, którzy to z krwią niespokojną przekazali mi — śpieszyć się, by uskoczyć przed zalewem, by wydrzeć niebospieczeństwu najbliższych. Muszę się śpieszyć, by zdobyć co mi do życia potrzebne, gdyż inaczej mogę spóźnić się i nic już nie znajdę. U nas więcej było ludzi, niż dóbr materialnych, więc by je zdobyć, nie wystarczy czekać cierpliwie, trzeba się śpieszć W niepokoju, w pośpiechu, człowiek zapomina się uśmiechać i mówić łagodnie — Dziękuję! — W moim kraju nie ma pewnego dnia ani godziny; na granicach, szeroko otwartych, od stuleci czyha zawistny wróg; więc trzeba się śpieszyć, by niepewnemu życiu wydrzeć godziny szczęścia, bo jutro może być zapóźno.

Ten pośpiech, ten niepokój, tę niecierpliwość mamy już we krwi. To ciężkie dziedzictwo i niełatwo się go pozbyć.

Spokój, brak nerwowości na tej wyspie jest dla nas dziś czymś tak niezrozumiałym, niezwykłym, że trudno nam uprzytomnić sobie nawet, iż taki sam spokój, płynący z poczucia bezpieczeństwa i ładu, miał w sobie Naród Polski kiedyś — w Złotym Wieku Kochanowskich i Górnickich.

Ks. ZYGMUNT KACZYŃSKI

KARTKI Z PAMIETNIKA

II. Przebudzenie 1 września

NARAZ SILNY WSTRZĄS DOMU, coś podrzuciło mnie na łóżku i obudziłem się. Moje mieszkanie znajdowało się na wysokiej skarpie, o jakieś 100 metrów od brzegu Wisły, w pobliżu Zamku Królewskiego, na placu, okalającym absydę starożytnej katedry św. Jana. Okna moje wychodziły przez otwartą przestrzeń wprost na Wisłę, mosty przez nią przerzucone i drugą cześć miasta, Pragę. Gdy przebudziłem się, usłyszałem donośny warkot motorów, gdzieś nisko lecących samolotów. Od czasu do czasu powietrzem i domem mym wstrząsały wybuchy. Myślę sobie: "Zapewne odbywają się ćwiczenia, nie mogli też sobie wybrać na to innej pory?"

Zegar wskazywał godz. 5.15 rano. Wstałem i wyjrzałem przez otwarte okno. Cofnąłem się przerażony, właśnie samolot z czarnym, pruskim krzyżem zniżył się znacznie nad mostem t. zw. Kierbedzia i wyrzucił bomby na stronę Pragi. Nie trafił w most, gdyż bomba padła na piaszczyste wybrzeże, na kilkadziesiąt metrów w górę podniósl się słup czarnego dymu i ziemi. . . . Podbiegłem do radia, otworzyłem Speaker, widoczenie już nie po raz pierwszy ogłaszał, że wojska niemieckie przekroczyły granice Polski, a samoloty ich bombardują nasze miasta, fabryki, lotniska, węzły kolejowe. Wojsko polskie stawia wszędzie opór nieprzyjacielowi. Niezadługo potem usłyszałem kanonadę, to polskie działa przeciwlotnicze i karabiny maszynowe strzelają do samolotów.

Pośpiesznie ubrałem się i wyszedłem na miasto. Warszawa w gorączkowym nastroju, w oczekiwaniu na wiadomości o przebiegu walk na pograniczu. Przez miasto przelatują motocykliści wojskowi z rozkazami. Dowiaduję się w redakcji mej Agencji, że Hitler na rannym posiedzeniu Reichstagu formalnie wypowiedział Polsce wojnę, już po przekroczeniu granic Polski i po zbombardowaniu szeregu miast i obiektów. Nie dał czasu naszemu ambasadorowi w Berlinie na porozumienie się z Warszawą i wypowiedzenie się na temat warunków, które w przeddzień wybuchu wojny nawet nie zostały wręczone, ale tylko pokazane p. Lipskiemu przez p. Ribbentropa podczas osobistego widzenia się.

Warszawa oczekiwała wiadomości o krokach wojennych naszych koaliantów, Anglii i Francji, które to państwa miały automatycznie wystąpić w chwili napadu Niemców na Polskę. Wśród ludności krążyły wieści, że armia francuska przekroczyła już granicę francusko-niemiecką i jest na przedpolach linii Zygfryda, że lotnictwo angielskie bombarduje już miasta Rzeszy, a flota Wielkiej Brytanii wypłynęła w kierunku wybrzeży niemieckich. Po kilku godzinach przekonałem się w M.S.Zagr., że to są nasze pobożne życzenia, że natomiast państwa alianckie postawiły Niemcom ultimatum, którego termin upływał w najbliższą niedzielę, 3 września. Oczywiście, mało kto był z tego obrotu rzeczy zadowolony, ale byliśmy przekonani, że w ciągu dwuch dni stan rzeczy nie wiele się zmieni.

Około południa zatelefonował do mnie generał Sikorski, obecny naczelny wódz armii polskiej i premier rządu. Umówiliśmy się, że przyjdzie do mnie na śniadanie. Równocześnie otrzymałem wiadomości ze sfer urzędowych, że wojska nasze stawiają dzielny opór Niemcom i przygotowują się do kontrofensywy. Mówiono mi nawet, że kawaleria polska już wkroczyła do Prus Wschodnich. O godz. 2 pop. przybył do mego mieszkania generał Sikorski. Odrazu przy powitaniu wyczułem, że coś jest niedobrze. Był ogromnie zmieniony na twarzy i przygnębiony. Opowiedział mi że przyjechał właśnie z Parchania (resztówka z osadnictwa wojskowego, w pobliżo Inowrocławia, na pograniczu Pomorza i Poznańskiego, własność generała), aby zgłosić się do wojska, gdyż nie otrzymał dotychczas przydziału. Jak wiadomo gen. Sikorski, aczkolwiek zaliczał się do służby czynnej, od roku 1928 nie piastował żadnego stowowiska w armii.

Podczas śniadania generał podzielił się ze mną hiobową wieścią, że lotniska nasze zostały zbombardowane, że fabryki samolotów w Białej Podlaskiej i w Krośnie zostały zniszczone przez bomby. Zauważyłem dalej, że generał broni się przed wypowiadaniem horoskopów na przyszłość. Złożyłem to na karb niechęci do marszałka Rydza Śmigłego za niepowołanie Sikorskiego do armii i nie powierzenie mu żadnego dowództwa.

Przy rozstaniu umówiliśmy się, że będziemy codziennie ze sobą w kontakcie, aby informować się nawzajem. Po wyjściu generała Sikorskiego postanowiłem poruszyć wszelkie sprężyny, by go w tej przełomowej chwili powołano do armii.

Nie będę szczegółowo opisywał rozwoju działań wojennych w ciągu następnych dni, naszych wzlotów i upadków, przypływów optymizmu i pesymizmu. Po wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Francję i Anglię w dniu 3-go września niezliczone tłumy manifestowały przed ambasadami sprzymierzeńcow. Ale już 4-go września nadeszły z frontu niepokojące wieści. Urzędy państwowe gorączkowo przygotowywały się do ewakuacji. Niemcy parli w głąb Polski, przewyższając wojska polskie liczebnością, bronią pancerną, a zwłaszcza lotnictwem. Najcięższe a najmniej oczekiwane uderzenie szło właśnie ze Słowacji, tak zbagatelizowanej przez sztab mimo ostrzeżeń wielu osób. Ciężki smutek kładł się na stolicę. Zewsząd dochodziły wieści o barbarzyńskich i zbrodniczych nalotach na bezbronne miasteczka i wsie, strzelaniu z karabinów maszynowych do pracujących w polu rolników, nawet do dzieci pasących bydło. Z Warszawy wyruszały jeden za drugim pociągi ewakuacyjne z aktami państwowymi, z urzędnikami i ich rodzinami. Pociągi te najczęściej były ostrzeliwane i bombardowane z powietrza, wiele osób śmierć poniosło. Drogi były zapchane samochodami.

Smutne było ostatnie nabożeństwo z udziałem rządu w starej katedrze warszawskiej, odprawiane przez prymasa Polski, kardynała Hlonda, w dniu 5 września. Gdy zabrzmiały niskie tony organów, zdawało mi się, że to ziemia z hukiem rozstępuje się, by pochłonąć Polskę.

W dniu 6 września dowiedziałem się, że Niemcy są już bardzo blisko od Warszawy i otaczają ją. Kto nie opuści w dniu tym miasta, już z niego jutro nie wyjedzie. Przy spotkaniu z generałem Sikorskim, który nadal pozostawał bez przydziału, uradziliśmy, że generał w dniu tym opuści Warszawę.

— Będzie mi ksiądz towarzyszył, — powiedział.

— Nie generale, — odrzekłem — Twój obowiązek być razem z wojskiem, mój — ze społeczeństwem stolicy. Muszę w tych ciężkich chwilach dzielić wspólny z nim los.

Do ostatniej chwili wyjazdu towarzyszyłem mu. Nazajutrz wojska niemieckie otaczały pierścieniem stolicę. Obronę Warszawy traktowałem jako akt honoru, ani na chwilę nie wierzyłem, by mogła ona zadecydować o losach kampanii w Polsce, które były już przesądzone.